

R.F.  
KUANG

A T A B A Z A





R.F.  
KUANG

K A T A B A Z A

Przełożył  
Grzegorz Komerski

Ilustracje  
Przemysław Truściński

fabryka słów®

WARSZAWA





*Bennettowi, genialnemu, ukochanemu*



*Zdaje się, że ci, którzy się z filozofią zetknęli jak należy, niczym innym się nie zajmują jak tym, żeby umrzeć i nie żyć, a ludzie bodaj tego nie wiedzą. Otóż jeśli to prawda, to głupio byłoby przez całe życie niczego innego nie szukać, tylko tego właśnie, a kiedy ono przyjdzie, wzdygać się przed tym, czego człowiek z dawna pragnął i starał się o to.*

Platon, „Fedon” (tłum. W. Witwicki)

**C**ambridge, październik, początek roku akademickiego. Wiatr kęsał zawzięcie, słońce gdzieś się skryło. Właśnie w takim momencie, pierwszego dnia zajęć, zamiast kłaść studentom do głów, jak ryzykowne jest stosowanie zaklęcia kar-tezjańskiego podziału do uśmierzania potrzeb fizjologicznych na czas wzmożonego wkuwania, Alice Law wyruszyła na ratunek duszy swojego promotora. Duszy, która trafiła do piekła.

Profesor Jacob Grimes zginął wskutek makabrycznego wypadku. Z pewnego punktu widzenia winna jego śmierci była

właśnie Alice, tak więc, motywowana zarówno poczuciem moralnego obowiązku, jak siłą interesu własnego – albowiem bez profesora Grimesa komisja doktorska nie miała przewodniczącego, a bez przewodniczącego dziewczyna nie mogła skutecznie obronić rozprawy, ukończyć studiów i zdobyć etatu naukowego na Wydziale Magii Analitycznej – uznała za konieczne błagać o zwrócenie promotorowi życia samego władcę Krainy Cieni, króla Yamę Miłosiernego.

Przedsięwzięcie nie należało do błahych. Dzięki miesięcznemu okresowi wytężonej nauki Alice stała się ekspertką w tartarologii, dziedzinie, której nie poświęcała jak dotąd większej uwagi. Ostatnio zresztą tartarologii nie poświęcał większej uwagi nikt, ponieważ oddający się jej badacze z rzadka tylko dożywiali publikacji efektów swych badań. Od dnia śmierci profesora Grimesa dziewczyna każdą wolną chwilę poświęcała na lekturę wszystkich dostępnych sobie monografii, artykułów naukowych oraz skrawków korespondencji dotyczących wypraw do piekła i z powrotem. Podróż taką odbyła z powodzeniem i zrelacjonowała jak dotąd co najmniej dwunastka śmiałków, lecz w ostatnim stuleciu nie dokonał tego praktycznie nikt. Istniejące źródła były w różnym stopniu niewiarygodne, a co gorsza, diabelnie trudne w przekładzie. Opowieść Dantego okazała się tak przesycona zjadliwymi aluzjami i nawiązaniem, że ściśle reportażowy rdzeń ginął w ich gąszczu. Jeden z najświeższych i najbardziej szczegółowych opisów tematu dostarczył T.S. Eliot, lecz „Ziemia jałowa” była dziełem tak skoncentrowanym na odniesieniach do samego siebie, że jego wartość informacyjna była w najlepszym wypadku mocno wątpliwa. Zapiski Orfeusza natomiast, sporządzone zresztą w archaicznej grece, dotarły do czasów obecnych w takich samych strzępkach, w jakie menady obróciły ciało ich autora. No dobrze, zapyta ktoś, a Eneasze? Cóż, nic więcej jak rzymska propaganda. Niewykluczone, że istniało więcej podobnych relacji, spisanych w mniej znanych językach – zainteresowani mogliby zapewne spędzić w archiwach całe dekady – lecz Alice kończył się zarówno czas, jak fundusze.



Pod koniec trymestru musiała złożyć raport z postępów pracy nad doktoratem, a pozbawiona żywego, z krwi i kości promotora mogła mieć nadzieję najwyżej na przedłużenie finansowania w wymiarze wystarczającym na dożycie do przeniesienia na inną uczelnię i znalezienia nowego opiekuna. A Alice nie miała zamiaru nigdzie się przenieść, chciała zrobić doktorat na Cambridge. I nie chciała też żadnych innych promotorów, chciała profesora Jacoba Grimesa, dziekana wydziału, laureata Nagrody Nobla, dwukrotnie wybranego prezesa Królewskiej Akademii Magii. Chciała otrzymać złoty list polecający, który otworzyłby przed nią wszystkie drzwi. A to oznaczało, że musiała wybrać się do piekła i musiała to zrobić już dzisiaj.

Uważnie sprawdziła sporządzone kredą inskrypcje, raz i drugi. Krąg domykała zawsze na samym końcu, wtedy dopiero, gdy miała całkowitą pewność, że wypowiadając aktywujące pentagram zaklęcie, nie popełni przypadkowego samobójstwa. Ostrożności nigdy za wiele. Magia wymaga precyzji. Alice wpatrywała się w eleganckie, białe linie tak długo i intensywnie, że zaczęły falować jej w oczach. Doszła do wniosku, że lepiej nie będzie. Umysł ludzki jest bytem omylnym, lecz umysł dziewczyny mylił się rzadziej niż większość innych, a w tej chwili to on był jej jedynym godnym zaufania doradcą. Zaciśnęła palce na kredzie. Jeszcze jedno gładkie pociągnięcie, ostatnia kreska i pentagram był gotów.

Zaczerpnęła głęboki wdech i przekroczyła obręb magicznego wzoru.

Oczywiście wiedziała, że będzie musiała za to zapłacić. Z piekła nikt nie wracał za darmo. Kwestia ceny jednak wydawała się w ogólnym rozrachunku czymś tak trywialnym, że zaakceptowała ją już na samym początku. Miała tylko nadzieję, że nie będzie boleć.

– Co robisz?

Alice знала ten głos. Jeszcze zanim się odwróciła, wiedziała, kogo zobaczy na progu. Peter Murdoch: rozpięty płaszcz; wyciągnięta ze spodni koszula; wystające z wiszącej na ramieniu

torby papierzyska, wyglądające jakby planowały wyfrunąć przy pierwszym silniejszym powiewie wiatru. Dziewczyna nijak nie potrafiła pogodzić się z faktem, że Peter, człowiek, który niezmiennie sprawiał wrażenie świeżo wyrwanego z głębokiego snu, stał się pupilem całego wydziału. Choć w zasadzie nie było w tym nic specjalnie zaskakującego: bo owszem, świat nauki szanuje dyscyplinę, chętnie nagradza ciężką pracę, lecz ponad wszystko ubóstwia geniuszy, osobników, którym sukces przychodzi bez odrobiny wysiłku. A Peter Murdoch ze swą przypominającą wronie gniazdo czupryną i chudymi jak u stracha na wróble kończynami, balansujący niepewnie na rozklekotanym rowerze, istotnie jawił się jak ktoś, kto nie wysiłił się ani razu przez całe życie. Ten chłopak po prostu przyszedł na świat jako geniusz skończony, z mózgiem po same brzegi napelnionym wiedzą przez dobrotliwe bóstwa.

Alice Petera nie znosiła.

– Nie przeszkadzaj. Idź sobie – rzuciła.

Peter wkroczył w jej krąg, co było gestem bardzo niekulturalnym. Przed wejściem w pentagram innego maga zawsze należy zapytać.

– Wiem, co planujesz.

– Nie, nie wiesz.

– Podstawowy pentagram transportujący Tsu z modyfikacjami Setiyi – stwierdził Peter, czym wywarł na dziewczynie spore wrażenie, ponieważ na podłogę zerknął bardzo przelotnie, i to z drugiej strony pokoju. – Suma Ramanujana pozwalająca w powiązaniu z efektem Casimira zadzierzgnąć psychiczną więź z obiektem. Osiem oddzielnych sekcji, odpowiadających ośmiu kręgom. Alice Law, ty łobuziaro! – Chłopak rozciągnął usta w szerokim uśmiechu. – Wybierasz się do piekła.

– Cóż, skoro już wiesz tak dużo – syknęła – wiesz też zapewne, że miejsca wystarczy tylko dla jednego z nas.

Peter uklęknął, poprawił zsuwające się po nosie okulary, wyciągnął z kieszeni własną kredę i kilkoma szybkimi ruchami wprowadził do pentagramu parę zmian. Kolejny niekulturalny

gest. Przed wprowadzeniem zmian w formuły innych magów zawsze należy zapytać. Lecz standardy zachowania i etykieta nie miały w przypadku Petera Murdocha zastosowania. On kroczył przez życie we mgle błogiej nieświadomości, którą, jak wszystko inne, usprawiedliwiał wyłącznie jego geniusz. Alice na własne oczy widziała, jak w trakcie pewnej uroczystej kolacji chłopak zachlapał czekoladowym syropem toż samego rektora, a jedynym, co go z tego tytułu spotkało, było przyjazne klepięcie w ramię i wybuch dobrotliwego śmiechu. Wpadki, błędy czy pomyłki Petera zawsze traktowano jak coś przeuroczego. Alice tymczasem przesiedziała kiedyś cały bankiet w toalecie, próbując opanować atak paniki po tym, jak strąciła na podłogę koszyk z pieczywem.

– Jedno staje się dwojgiem. – Chłopak wykonał skomplikowany ruch palcami. – Abrakadabra. I już mamy miejsce.

Alice bacznie przyjrzała się jego inskrypcjom i ze zgrozą zrozumiała, że są perfekcyjne. Zdecydowanie wołałaby, żeby coś sknocił i przypłacił to utratą kończyny. A jeszcze bardziej zdecydowanie wołałaby, żeby nie wygłosił następnego zdania, które brzmiało:

– Idę z tobą.

– Nie, mowy nie ma.

Ze wszystkich osób związanych z Wydziałem Magii Analitycznej Uniwersytetu w Cambridge Peter Murdoch był ostatnią, z którą miała ochotę wędrować po zaświatach. Nieomyślny, genialny, skrajnie irytujący. Zdobywca wszystkich możliwych nagród – najlepsza praca roczna studenta pierwszego roku, najlepsza praca roczna studenta drugiego roku, medale dziekana za wybitne osiągnięcia w dziedzinie matematyki i logiki (żaden z tych przedmiotów nie był, mówiąc oględnie, specjalnością Alice, ale zanim pojawiła się w Cambridge, nigdy z nikim nie przegrywała). Peter był jednym z tych akademików, którzy wywodzą się z akademickich rodzin, jego rodzice zajmowali się naukowo fizyką i biologią, co oznaczało, że atmosferą i zasadami uniwersyteckiego świata nasiąkał, odkąd nauczył się chodzić. Ten chłopak już teraz posiadał wszystkie zalety świata. Żeby zdobyć

uczelniany etat, nie potrzebował listownej rekomendacji profesora Grimesa.

A najgorsze, że był przy tym skrajnie miły. Peter wiecznie snuł się po świecie z beztroskim uśmiechem na twarzy, zawsze proponował kolegom pomoc przy co bardziej wymagających projektach, niezawodnie pytał pozostałych uczestników seminarium, jak minął im weekend, mimo że doskonale przecież wiedział, iż oba wolne dni spędzili, wylewając łzy rozpaczy nad dowodami, które on przeprowadziłby we śnie. Peter Murdoch nigdy nie zachowywał się protekcjonalnie, nie wywyższał się nad nikim, on był po prostu niewinnie lepszy, co sprawiało, że wszyscy pozostali czuli się przy nim o wiele gorsi.

Nie, Alice chciała rozwiązać ten problem samodzielnie. Nie chciała przez cały czas słyszeć nad sobą Peterowego głędzenia. Nie chciała, by wiedziony życzliwym, koleżeńskim odruchem pedantycznie poprawiał jej pentagramy. A przede wszystkim nie chciała po powrocie z ocaloną duszą profesora Grimesa dzielić się z nim sukcesem.

– Piekło to samotne miejsce – zauważył chłopak. – Przyda ci się towarzystwo.

– Ciekawe, bo słyszałam, że piekło to inni.

– Bardzo zabawne. No nie daj się prosić. Przecież ktoś musi ci pomóc dźwigać cały ten ekwipunek.

Alice zapakowała do plecaka nowiutką wieczną butelkę (zakłętą butelkę z wodą, której zasoby mogły wystarczyć na wiele tygodni) oraz lembasy (suche, przypominające w smaku karton kromki odżywczego pieczywa, niezwykle popularne wśród doktorantów, ponieważ pochłaniało się je w kilka sekund, a zaspokajały głód na długie godziny. Lembasy nie były w żaden sposób magiczne: składały się głównie z białka wyizolowanego z całych ton orzeszków ziemnych oraz błuźnierczych wręcz ilości cukru). Przygotowała także latarki, jodynę, zapałki, linę, bandażę oraz koc termiczny. Miała nową, lśniąca paczuszkę kredy marki Bar-kles i starannie sporządzone, zalaminowane reprodukcje każdej w miarę wiarygodnej mapy i planu piekła, jakie wyszperała

w uczelnianej bibliotece. (Pewną niedogodność stanowił fakt, iż wszystkie te kartograficzne dzieła przedstawiały zupełnie inne widzenie miejsca docelowego. Alice zakładała, że kiedy dotrze na miejsce, wespnie się gdzieś wysoko, rozejrzy i wybierze odwzorowanie najwierniejsze). Zabrała też nóż sprężynowy i dwa ostre myśliwskie sztylety. A na wypadek gdyby dopadła ją nuda, dorzuciła jeszcze tom Prousta. (Szczepnie mówiąc, nigdy dotąd nie próbowała zmierzyć się z Proustem, ale Cambridge zmieniło ją w osobę, która chciała mieć Prousta przeczytanego, i doszła do wniosku, że piekło jest świetnym miejscem, by się za niego wreszcie zabrać).

– Poradzę sobie.

– Pamiętaj też, że będziesz potrzebować w pomocy w rozwiązywaniu zagadek kolejnych kręgów – podjął Peter. – Piekło jest niebywale zawiłe pod względem metafizycznym. Widzisz, Anscombe twierdzi, że same tylko nieustanne reorientacje przestrzenne...

– Proszę nie insynuuj, że jestem za mało inteligentna, by trafić do piekła. – Alice przewróciła oczyma.

– Pamiętałaś o egzemplarzu Cleary'ego?

– Naturalnie. – Alice za nic nie zapomniaby o „Szablonach Cleary'ego”. Nie zapominała o niczym.

– Przejrzałaś i porównałaś ze sobą wszystkie dwanaście najważniejszych wersji opisu podróży Orfeusza?

– Pewnie, że czytałam Orfeusza. To dość oczywiste, że od niego się zaczyna i...

– Wiesz, w jaki sposób przedostać się na drugi brzeg Lete?

– Murdoch, proszę cię...

– Będziesz potrafiła obłaskawić Cerbera?

Zawahała się. Zdawała sobie sprawę, że to może być istotna przeszkoda. O zagrożeniu ze strony Cerbera Dante wspominał w liście do Bernarda Canaccio, aczkolwiek nie znalazła o tej sprawie nic więcej w żadnych innych źródłach, a jedyna książka mogąca zawierać jakieś wskazówki – „Dante i piekło prawdziwe” Vandicka – zaginęła z biblioteki. Swoją drogą sporo przydatnych pozycji zniknęło w ostatnich miesiącach z bibliotecznego



księgozbioru; niekiedy wypożyczano je rankiem tego samego dnia, kiedy po nie przychodziła. Tak było ze wszystkimi przekładami „Eneidy”. I całą średniowieczną literaturą scholastyczną dotyczącą Łazarza. Zupełnie jakby bibliotekę nawiedził jakiś złośliwy duch, niesamowicie trafnie odgadujący kolejne potrzebne Alice pozycje. Nagle doznała olśnienia.

– Czyli ty też...

– Tak. Pracowałem nad tym samym – przyznał Peter. – Oboje włożyliśmy w doktoraty zbyt wiele wysiłku, Alice. A żaden inny promotor nam nie pomoże. Nikt poza nim nie jest dość inteligentny. I wciąż ma nam wiele do przekazania. Po prostu musimy sprowadzić go z powrotem. A w tym konkretnym przypadku dwa umysły sprawdzą się lepiej niż jeden.

Dziewczyna nie mogła się nie roześmiać. Tyle czasu. Każda luka na bibliotecznym regale, wszystkie brakujące elementy układanki. Murdoch.

– Więc powiedz mi, jak obłaskawia się Cerbera.

– Dobrze, Law, dobrze. No, ale już, zgódź się. – Peter lekko szturchnął ją w ramię. – Wiesz przecież, że razem zawsze wszystko wychodzi nam lepiej.

Grubymi nićmi to szyte, pomyślała Alice. Bo chłopak nie był z nią szczerzy. Wiedziała, że nie jest, ponieważ powiedział nieprawdę. To, co powiedział, było nieprawdą od ponad roku, w dodatku wyłącznie z jego woli. Świetnie to pamiętała. Jak mógł teraz tak się przymilać, wyrzucać z siebie tego rodzaju słowa tak swobodnie, jakby wciąż byli chichocącymi na ćwiczeniach pierwszoroczniakami, jakby od tamtej pory nie upłynął szmat czasu?

Lecz cóż, taki właśnie był modus operandi Petera Murdocha. W dokładnie ten sposób traktował wszystkich. Z pozoru ciepły, radosny i życzliwy, ale gdy tylko ktoś próbował zbliżyć się o krok, nagle grunt usuwał mu się spod nóg. Zrozumiała, że ma przed sobą dwie ewentualności. Niepełna wiedza lub towarzystwo Petera. Przyszło jej do głowy, że mogłaby po prostu zażądać brakujących książek – chłopak był wprawdzie irytujący, ale nie posunąłby się do odcięcia jej od źródeł – i dojść do wszystkiego

samodzielnie. Ale cóż, pieniądze topniały, czas uciekał, a w piwnicy gniły części ciała pewnego człowieka. Po prostu nie mogła dłużej zwlekać.

– Dobrze – zgodziła się. – Mam tylko nadzieję, że masz własny zapas kredy.

– Dwa świeżutkie pudełka. Jeszcze nieotwarte. Shropley – rzucił rozpromieniony.

Tak, wiedziała, że Peter ceni sobie kredę Shropleya. Wyrażny dowód paskudnego charakteru. Cóż, przynajmniej nie będzie musiała dzielić się swoją.

Ustawiła plecak przy nogach, upewniła się, że ani jeden pasek nie wystaje poza pentagram.

– Skoro tak, to zostaje nam jedynie inkantacja. Jesteś gotów?

– Czekaj – powstrzymał ją Peter. – Znasz cenę?

Oczywiście, że znała. Właśnie dlatego uczeni praktycznie nigdy nie wybierali się w zaświaty. Sama podróż nie stanowiła większego problemu. Wystarczyło wykopać z archiwów właściwe formuły i je opanować. Kłopot wynikał z faktu, że korzyści z podziemnej eskapady niezwykle rzadko usprawiedliwiały jej koszt.

– Połowa pozostałego mi życia – odpowiedziała. Wkroczenie do piekła wymagało przebicia granicy między światami, a do takiego wyczynu potrzeba było organicznej energii w ilości, jakiej zwykła kreda nie zapewniała. – Stracę jakieś trzydzieści lat. Tak, wiem.

Podjęcie decyzji nie przyszło jej z wielkim trudem. Czy lepiej zrobić doktorat, zaliczyć spektakularny sukces i odejść w blasku naukowej chwały? Czy może lepiej przeżyć cały przeznaczony sobie czas, osiwieć, zacząć się ślinić i szczeznąć anonimowo z sercem wyżartym przez żal? Czyż Achilles nie wybrał śmierci w boju? Alice napatrzyła się na wydziałowych bankietach na emerytowanych profesorów, uczonych przeobrażonych przez czas w nieszczęsne, afatyczne rekwizyty i starość nie wydawała się jej kuszącą perspektywą. Zdawała sobie sprawę, że jej wybór spełniłby zagrożenie każdego poza środowiskiem uniwersyteckim.

Ale też nikt spoza środowiska nie mógł tego zrozumieć. Za prestiżowy etat na uczelni byłaby gotowa oddać pierworodne dziecko. Odjęłaby sobie kończynę. Poświęciłaby dosłownie wszystko, może z wyjątkiem umysłu i zdolności myślenia.

– Chcę zostać magiem – powiedziała. – Nigdy niczego innego nie pragnęłam.

– Wiem – odparł Peter. – Ja też. I... muszę to zrobić. Po prostu muszę.

Chwila nabrzmiałej napięciem ciszy. Alice mogłaby zapytać, lecz rozumiała, że nie usłyszy odpowiedzi. W kwestiach osobistych Peter otaczał się kamiennym murem. Z niesamowitą łatwością znikał za zasłoną spokojnego uśmiechu.

– Czyli postanowione. – Odchrząknął. – Więc może ja zajmę się łaciną, a ty chińskim i greką? – Rzucił okiem na formułę wypisaną przy jego prawej stopie. – Słuchaj, dlaczego to nie jest w sanskrycie?

– W sanskrycie nie czuję się komfortowo – przyznała Alice. Rozzłościła się. Tak, cały Peter. Potrafił wbić szpilę, mimo iż z pozorów wydawało się, że pyta po prostu o wyjaśnienie. – Zamiast tego wszystkie odniesienia do buddyjskich sutr zrobiłam w klasycznej chińszczyźnie.

– Ach – rzucił chłopak i zamruczał. – Cóż, pewnie zadziała. Skoro jesteś pewna.

Wzniosła oczy do nieba.

– Liczymy do trzech i zaczynamy na start.

– Dobra.

Odliczyła.

– Start.

Zaintonowali inkantację.



Straszna, tragiczna śmierć profesora Jacoba Grimesa była zarówno przewidywalna, jak i możliwa do uniknięcia. Była także, o czym większość nie miała pojęcia, w pełni zawiniona przez Alice.

Na tamten dzień nie zaplanowano nic bardziej ryzykownego ani radykalnego od tysięcy innych eksperymentów, jakie profesor Grimes przeprowadzał w laboratorium od dziesięcioleci. Zamierzał jedynie przetestować pewne podstawowe zasady teorii mnogości, do których odwoływał się jego nowy artykuł, mający niebawem ukazać się na łamach prestiżowego branżowego periodyku „Arkana”. Czekало go zadanie na wskroś rutynowe, nie bardziej niebezpieczne niż przejażdżka rowerem. Zupełnie niegroźne pod warunkiem drobiazgowego sprawdzenia pentagramów. Wiedzą o tym nawet studenci pierwszego roku.

Profesor Grimes pentagramów nie sprawdził.

Dawno już osiągnął punkt kariery, w którym tego rodzaju przyziemne zadania pozostawiał w rękach doktorantów. Własny czas profesor Grimes poświęcał głębokiemu, doniosłemu namysłowi. Sięgał wzrokiem ponad górskie szczyty, wzbijał się ponad obłoki, tam gdzie kryła się prawda, a następnie zstępował z owych wyżyn, by wygłaszać kazania niczym Mojżesz po zejściu z góry Synaj. Drobiazgami zajmowały się płotki. On sam nigdy nie trudził się arytmetyką ani przekładami. Był także dalece ponad ślęczenie nad kredowymi wzorami, ponad wyężdżanie wzroku i grzbietu.

Ktoś mógłby uznać, że mag składający życie w ręce przepracowanych, niedofinansowanych doktorantów jest osobą lekko-myślną bądź nawet głupią. Lecz po pierwsze, doktoranci profesora Grimesa byli najlepsi na świecie. A po drugie, najbardziej niebezpieczne pomyłki w pentagramach rozpoznałby nawet studenci najgorszych uczelni amerykańskich. A to było wszak Cambridge. Po kilku latach praktyki wszelkie niedociągnięcia rzuciły się dowolnemu w miarę kompetentnemu uczonemu w oczy wyraźnie niczym sygnał alarmowy: luki w zewnętrznych kręgach, błędy ortograficzne w zapisie wyrazów, fałszywe równoważności, niedomknięte nawiasy. Z czymś takim poradziłby sobie każdy człowiek przy zdrowych zmysłach.

Alice jednak tamtego dnia przy zdrowych zmysłach nie była. Była przepracowana i niedofinansowana, lecz te przypadłości

były wśród doktorantów powszechne i nikt szczególnie się nimi nie przejmował. Traf jednak chciał, że w dodatku do nich dziewczyna od trzech miesięcy cierpiała na chroniczne niedospanie.

Włała w siebie tyle kofeiny, że świat zaczął falować, a kreda drżała jej w dłoni. Czuła, że jej ciała nie oddziela od rzeczywistości żadna konkretna granica. Miała wrażenie, że gdyby tylko pozwoliła, jej podmiotowość rozplynęłaby się jak kostka cukru w filiżance herbaty. Nie była w stanie pracować, i to już od dłuższego czasu. Tym, czego potrzebowała, były długie, przyjemne wakacje, a potem być może także pobyt w jakimś sympatycznym nadmorskim ośrodku zamkniętym.

Nie pojawić się w laboratorium jednak nie mogła. Coś takiego po prostu nie wchodziło w grę. Profesor Grimes poprosił ją o pomoc przy artykule po raz pierwszy od niemal roku i mimo że zlecone zadania były poniżej jej umiejętności, a o współautorstwie artykułu nie było mowy, Alice rozpaczliwie pragnęła ponownie wkraść się w łaski promotora.

Tak czy inaczej, od pewnego momentu permanentnie żyła skrajnie wyczerpana, w stanie bliskim właściwie omdlenia. Liczyła, że jak zawsze, dzięki odpowiedniej kombinacji mocnej kawy i lembasów, dopnie wszystko w porę, nie zawali żadnego ważnego terminu, a następnie zapadnie bezkarnie w nieskończoną śpiączkę. Tak mniej więcej wyglądały całe jej studia doktoranckie i w sumie wcale nie było tak źle.

Tamtego popołudnia była jednak także wściekła, podminowana, skonsternowana i przepełniona tak skomplikowaną mieszanką frustracji i furii, że o drgawki przyprawiało ją samo brzmienie głosu profesora Grimesa. Doznanie jego najzwyczajszej fizycznej bliskości – świadomość każdego jego ruchu, jego obecności, gdy klęczała w jego cieniu i rysowała – sprawiało, że miała kłopot z oddychaniem. W krótkich momentach, gdy spotykali się spojrzeniami, zatykało ją na dobre i miała ochotę umrzeć.

W takich warunkach niezwykle trudno jest zachować właściwy poziom skupienia. Tak więc, kreśląc pentagramy, nie domknęła wymaganej pętli. A przy pracy z pentagramami zawsze

należy starannie domykać wszystkie wymagane pętle. Inkantacje pobudzają żywą-martwą energię kredowego pyłu, a energia owa, o ile nie zostanie odpowiednio zamknięta w ściśle ograniczonej przestrzeni, uwalnia się pod postacią eksplozji. Do katastrofy może doprowadzić najmniejsza nawet wyrwa we wzorze. Co więcej, drobne luki są najbardziej niebezpieczne, ponieważ koncentruje się w nich stosunkowo największa ilość energii.

Z tego powodu przy rysowaniu pentagramów zawsze przeprowadzano badanie nazywane powszechnie testem mrówki: polega ono na przeciągnięciu czubkiem ołówka przez cały obrys inskrypcji, co pozwala się upewnić, że mrówka mogłaby przejść po kredowym śladzie dookoła całego wzoru, nie napotykając po drodze żadnych przerw.

Alice testu mrówki nie przeprowadziła.

A tym samym nie dopilnowała, by ciało profesora Grimesa pozostało w jednym kawałku.

Tego rodzaju błąd mógł zakończyć karierę. Bez wątpienia zakończyłby i jej karierę, gdyby ktokolwiek zobaczył nazwisko Alice na laboratoryjnych dokumentach bądź gdyby w ogóle wiedział, że tego konkretnego dnia asystowała promotorowi. Wszczęto by dochodzenie. Alice zostałaby zmuszona, by drobiazgowo opisać przed obliczem rady, na czym polegała pomyłka, a sędziom pozostałoby do rozstrzygnięcia, czy mają do czynienia z zabójstwem, czy z lekkomyślnym narażeniem życia. Straciłaby stypendium, wyleciała z hukiem z programu, czekałoby ją przesłuchanie w Królewskiej Akademii, a wszystko skończyłoby się zakazem studiowania i praktykowania magii we wszelkich zajmujących się nią instytucjach świata, nawet tych najbardziej podejrzanych, zamorskich i nieakredytowanych. Ewentualnie po prostu trafiłaby do więzienia.

Lecz profesor Grimes, ogólnie rzecz ujmując, nie miał zwyczaju umieszczania nazwisk doktorantów na liście uczestników swoich eksperymentów. Wspomaganie jego badań, zwykle na koszt własny, stanowiło jeden z niepisanych wymogów udziału w programie. Nie istniał więc żaden oficjalny ślad, że feralnego



dnia w pomieszczeniu, gdzie doszło do wypadku, przebywał ktośkolwiek poza samym profesorem Grimesem. Nikt nie widział, jak wyjący wicher, wydarty przemocą z nieskończoności innych wymiarów, wypełnił pentagram. Nikt poza dziewczyną nie widział, jak oczy jej promotora rozděły się nienaturalnie i pękły niczym przejrzałe winogrona; nikt nie widział sznurów jelit, które smagając niczym skakanka, opłotły jego ciało; nikt nie zobaczył ust wykrzywionych w bezgłośnym wrzasku. Nikt poza Alice nie widział, jak ciało profesora Grimesa odwraca się w powietrzu do góry nogami i zaczyna wirować. Wystarczyło siedem gwałtownych obrotów, a narządy wewnętrzne wykładowcy rozbriznęły się na wszystkie strony i pokryły każdą możliwą powierzchnię makabryczną, przypominającą sos jabłkowy mieszaniną krwi, kości i trzewi. Nikt nie zobaczył spływającego z tablicy mózgu ani zębatego fragmentu żuchwy, który z pluskiem wylądował prosto w filiżance wypełnionej popołudniową dawką jego ulubionego naparu z herbaty Darjeeling.

Nikt też nie widział Alice, kiedy rozebrała się do naga i wyszorowała do czysta pod laboratoryjnym prysznicem, po czym wrzuciła zakrwawione ciuchy do spalarki i czmychnęła tylnymi drzwiami w zapasowym komplecie odzieży, który od dawna na wszelki wypadek przechowywała w swojej szafce. Nikt nie zobaczył, jak przemknęła o świcie przez kampus do swojego pokoju w akademiku kolegium, gdzie rozebrała się ponownie, wzięła jeszcze jeden prysznic, a następnie padła na łóżko i na przemian płacząc i wymiotując, doczekała snu.

Cała reszta świata o śmierci profesora Grimesa dowiedziała się dopiero, gdy rankiem rozległ się przeraźliwy wrzask woźnego. Zanim do tego doszło, skrawki ciała zniekształciły już wzór pentagramu, a krew rozmyła wszystkie kredowe linie, nikt więc nie był w stanie dokładnie stwierdzić, co poszło nie tak. Szczęśliwym trafem jeden z kawałków uczonego – nieco później rozpoznano w nim wątrobę – spadł prosto na wadliwie wyrysowany przez Alice fragment zewnętrznego kręgu. W tej sytuacji jedynym możliwym wnioskiem był taki oto, że doszło do strasznego

wypadku, z rodzaju tych, jakie nieustannie czyhają na najśmielszych myślicieli swych czasów. I na tym dociekania zamknęto.

Pracownicy uniwersyteckiej służby sprzątającej jakimś cudem zdołali zebrać z laboratorium tyle doczesnych szczątków uczonego, żeby wypełnić standardowych rozmiarów wiadro, którego zawartość trafiła następnie do trumny. Władze kolegium zorganizowały uroczystą mszę. Wydział ogłosił tygodniową żałobę, w trakcie której wszyscy studenci i wykładowcy musieli wziąć udział w obowiązkowych warsztatach dotyczących bezpieczeństwa i higieny pracy, prowadzonych przez kolegów zwiezionych specjalnym autobusem z Oksfordu, którzy przy każdej okazji dawali ze złośliwą wyższością do zrozumienia, że oni nigdy w życiu nie wykazaliby się taką głupotą, by pozwolić badaczowi rozpuknąć się na całe laboratorium. Metalowa wizytówka z nazwiskiem profesora Grimesa zniknęła z drzwi jego gabinetu. Prowadzenie jego seminarium doktoranckiego powierzono pewnemu młodocianemu doktorowi, który omawiane kwestie rozumiał w mniejszym jeszcze stopniu niż studenci. Na łamach lokalnej prasy ukazało się kilka artykułów o tym, jak wielką stratą była śmierć uczonego – dla Cambridge, dla jego dyscypliny naukowej, dla całego świata. A potem lato dobiegło końca i wszyscy zajęli się własnym życiem. Wszyscy z wyjątkiem Alice.

Tak, mogła trzymać język za zębami i dać sprawie spokój. Uniwersytet z pewnością utrzymałby ją do końca studiów. Wydział Magii Analitycznej był niezwykle dumny z wysokiego procenta absolwentów i bez wątpienia przeciągnęliby ją aż do mety tak czy inaczej, nawet gdyby wymagało to wypożyczenia Alice na kilka lat do konkurencyjnego Oksfordu.

Tyle że profesor Grimes był najbardziej wpływowym magiem analitycznym w Anglii, a prawdopodobnie i w skali ogólnosiwiatowej. Połową podobnych wydziałów w innych uczelniach kierowali jego bliscy przyjaciele, a druga połowa bała się go tak bardzo, że była gotowa spełnić każde jego życzenie. Wszyscy dotychczasowi doktoranci Grimesa otrzymali prestiżowe katedry

i prowadzili najważniejsze programy badawcze – to znaczy wszyscy ci, którzy doktorat zrobili. Jeden zwykły list polecający podpisany nazwiskiem Grimesa pozwalał chętnym znaleźć zatrudnienie w dowolnej właściwie instytucji naukowej.

W świecie akademickim o dobrą posadę było niesłychanie trudno. A Alice o takiej właśnie posadzie gorąco marzyła. Gdyby to się jej nie powiodło, nie miałyby pojęcia, co ze sobą począć. Przez całe życie uczyła się z tą jedną myślą i wiedziała, że jeśli to się nie uda, jej egzystencja utraci cały sens.

Tak więc rankiem po śmierci profesora Grimesa, gdy ciało uczonego zostało już znalezione, a zamieszanie ostatecznie ucichło, Alice uznała, że najbardziej naturalną rzeczą na świecie będzie rozpoczęcie badań nad sposobami dotarcia do piekła.

